

---

Ryszard Kapuściński

---



ESARZ

---

Czytelnik

---



---

**Ryszard  
Kapuściński**

---

**CESARZ**

---

Czytelnik

Projekt okładki i karty tytułowej  
Andrzej Heidrich

Zdjęcie Ryszarda Kapuścińskiego  
fot. Czesław Czapliński © 1986

Redaktor techniczny  
Hanna Bernaszuk

Korekta  
Katarzyna Heidrich-Żurkowska

© Copyright by the Estate of Ryszard Kapuściński,  
2007, 2019

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa  
Warszawa 2019. Wydanie XXVIII  
Ark. wyd. 7,1; ark. druk. 10,75  
Druk: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.

ISBN 978-83-07-03462-1

TRON



Zapomnij o mnie  
to wszystko zgasło  
*(tango cygańskie)*

Oj, Negus Negesti  
Ratuj Abisynię  
Bo są zagrożone  
Południowe linie,  
A na północ od Makale  
Oj, niedobrze tam jest wcale.  
Negus, Negus  
Daj mi kule, daj mi proch  
*(przedwojenna piosenka warszawska)*

Obserwując zachowanie się poszczególnych kur w kurniku, przekonamy się, że niższe rangą kury są dziobane i ustępują miejsca wyższym rangą. W idealnym wypadku występuje jednoszeregową listą rang, na początku której stoi nadkura dziobiąca wszystkie inne, z kolei te, które są w środku listy, dziobią niższe rangą, respektują zaś wyżej postawione. Na końcu znajduje się kura kopciuszek, która musi ustępować wszystkim.  
*(Adolf Remane „Swoiste drogi kręgowców”)*

Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego, jeżeli tylko osiągnie właściwy stopień uległości.

*(C.G. Jung)*

DELPHINUS, gdy chce zasypiać, po wierzchu wody pływa, zadrzymawszy, na dno morskie z wolną się spuszcza, tam sobą o dno uderzeniem obudzony, znowu na wierzch wody wypływa, wypłynawszy, zasypia, y znowu na dno puszczone, tymże sposobem ocuca się, a tak w ruchu zażywa spoczynku.

*(Benedykt Chmielowski „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna”)*



*Wieczorami słuchałem tych, którzy znali dwór cesarza. Kiedyś byli ludźmi palacu albo mieli tam prawo wstępu. Nie zostało ich wielu. Część zginęła, rozstrzelana przez plutony egzekucyjne. Inni uciekli za granicę albo siedzą w więzieniu znajdującym się w lochach tego samego palacu: z salonów strącono ich do piwnic. Byli też tacy, którzy ukrywają się w górach albo żyją w klasztorach przebrani za mnichów. Każdy stara się przetrwać na swój sposób, wedle dostępnych mu możliwości. Tylko garstka pozostała w Addis Abebie, gdzie – okazuje się – najłatwiej zmylić czujność władz.*

*Odwiedzałem ich, kiedy było już ciemno. Musiałem zmieniać samochody i przebrania. Etiopczycy są głęboko nieufni i nie chcieli uwierzyć w szczerość mojej intencji: miałem zamiar odnaleźć świat, który został zmieniony karabinami maszynowymi Czwartej Dywizji. Te karabiny są zamontowane na amerykańskich jeepach, obok siedzenia kierowcy. Obsługują je strzelcy, których zawodem jest zabijanie. Z tyłu siedzi żołnierz, ten odbiera przez radiostację rozkazy. Ponieważ jeep jest odkryty, kierowca, strzelec i radiotelegrafista mają ciemne, chroniące przed kurzem, motocyklowe okulary przysłonięte okapem hełmu. A więc nie widać ich oczu, a hebanowe, zarośnięte szczecinq twarze są bez wyrazu. Te trójki w jeepach są tak obyte ze śmiercią, że ich kierowcy prowadzą wozy w sposób samobójczy,*

*z najwyższą szybkością wchodzą w gwałtowne zakręty, jeżdżą ulicami pod prąd, wszystko rozpryskuje się na boki, kiedy nadciąga taka rakietą. Lepiej nie wchodzić im w pole ostrzału. Z radiostacji, którą trzyma na kolanach ten z tyłu, rozlegają się wśród trzasków i piszków nerwowe głosy i krzyki. Nie wiadomo, czy któryś z tych ochrypłych zabelkotań nie jest rozkazem do otwarcia ognia. Lepiej zniknąć. Lepiej skręcić w boczną uliczkę i przeczekać.*

*Teraz zagłębiałem się w kręte i pełne błota zaułki, trafiając do domów, które na zewnątrz sprawiały wrażenie, że są opuszczone i że nikt w nich nie mieszka. Bałem się: domy te były obserwowane i mogłem wpaść razem z ich mieszkańcami. Bardzo to możliwe, ponieważ często przeczesują jakiś zaułek miasta, a nawet całe dzielnice w poszukiwaniu broni, wywrotowych ulotek i ludzi starego reżimu. Wszystkie domy podpatrują się teraz nawzajem, podglądają się, węszą. To wojna domowa, tak ona wygląda. Usiadłem blisko okna, a oni zaraz – proszę zmienić miejsce, jest pan widoczny z ulicy, w ten sposób łatwo w pana trafić. Przejżdża samochód, zatrzymuje się, słyhać strzały. Kto to był – oni czy tamci? A kim dzisiaj są oni, a kim nie-oni, ci inni, którzy są przeciw tamtym, bo są za tymi? Samochód odjeżdża, szczekają psy, całą noc w Addis Abebie szczekają psy, jest to psie miasto, pełne psów rasowych i dziczałych, skołtunionych, zjadanych przez robactwo i malarię.*

*Niepotrzebnie powtarzają, abym uważał: żadnych adresów ani nazwisk, ani nawet nie opisywać twarzy, ani że wysoki, że niski, że chudy, czoło jakie, że ręce mu, że spojrzenie, a nogi to, kolana, już nie ma przed kim na kolanach.*

F.:

To był mały piesek rasy japońskiej. Nazywał się Lulu. Miał prawo spać w łóżu cesarskim. W czasie różnych ceremonii uciekał cesarzowi z kolan i siusiał dygnitarzom na buty. Panom dygnitarzom nie wolno było drgnąć ani zrobić żadnego gestu, kiedy poczuli, że mają mokro w bucie. Moją funkcją było chodzić między stojącymi dygnitarzami i ocierać im mocz z butów. Do tego służyła ściereczka z atlasu. To było moim zajęciem przez dziesięć lat.

L.C.:

Cesarz spał w łóżu z jasnego orzecha, bardzo obszernym. Był tak drobny i kruchy, że ledwie go się widziało, ginął w pościeli. Na starość zmaliał jeszcze bardziej, ważył pięćdziesiąt kilo. Jadł coraz mniej i nigdy nie pił alkoholu. Sztywniały mu kolana i kiedy był sam, powłóczył nogami i kołysał się na boki, jakby szedł na szczydłach, ale kiedy wiedział, że ktoś na niego patrzy, największym wysiłkiem zmuszał mięśnie do pewnej elastyczności, tak aby poruszanie się jego było godne i aby postać imperialna mogła utrzymać się w możliwie nienagannym pionie. Każdy krok był walką między powłóceniem a godnością, między przechyłem a pionem. Dostojny pan nigdy nie zapominał o swoim starczym defekcie, którego nie chciał ujawniać, aby nie osłabić prestiżu i powagi Króla Królów. Ale my, służba sypialni, którzy mogliśmy go podglądać, wiedzieliśmy, ile wysiłków kosztują go te starania. Miał zwyczaj sypiać krótko i wstawać wcześniej, kiedy na dworze było jeszcze ciemno. W ogóle sen traktował jako ostateczność niepotrzebnie zabierającą mu czas, który wolałby przeznaczyć na rządzenie i reprezentację. Sen to był

prywatny, kameralny wtret w życie, mające upływać wśród dekoracji i świateł. Dlatego budził się jak gdyby niezadowolony z tego, że spał, zniecierpliwiony samym faktem spania, i dopiero dalsze czynności dnia przywracały mu wewnętrzną równowagę. Dodam jednak, że cesarz nigdy nie objawiał najmniejszego zdenerwowania, gniewu, złości czy frustracji. Mogłoby się здаwać, że takich stanów nigdy nie doznaje, że ma nerwy zimne i martwe jak stal albo że nie ma ich wcale. Była to cecha wrodzona, którą pan nasz umiał rozwinąć i wydoskonalic w myśl zasady, że w polityce nerwy są oznaką słabości, która stanowi zachętę dla przeciwników i ośmiela podwładnych do pokątnego dowcipkowania. A pan wiedział, że dowcip to niebezpieczna forma opozycji, i dlatego trzymał swoją psychikę w nie-nagannej normie. Wstawał o czwartej, o piątej, a gdy wyjeżdżał z wizytą za granicę, nawet o trzeciej w nocy. Później, kiedy robiło się w kraju coraz gorzej, coraz częściej wyjeżdżał, cały pałac zajmował się tylko szykowaniem cesarza do nowych podróży. Po przebudzeniu naciskał dzwonek przy nocnym stoliku – na ten dźwięk czekała już czuwająca służba. W pałacu zapalano światła. Był to sygnał dla cesarstwa, że najdostojniejszy pan rozpoczął nowy dzień.

Y.M.:

Cesarz rozpoczynał dzień od słuchania donosów. Noc jest niebezpieczną porą spiskowania i Hajle Sella-sje wiedział, że to, co dzieje się w nocy, jest ważniejsze od tego, co dzieje się w dzień, w dzień miał wszystkich na oku, a w nocy było to niemożliwe. Z tego też powodu przykładał do rannych donosów wielkie znaczenie. Tu chciałbym wyjaśnić jedną rzecz: czcigodny pan nie miał zwyczaju czytania. Dla niego nie istnia-

ło słowo pisane i drukowane, wszystko trzeba było referować mu ustnie. Pan nasz nie miał szkół, jego jedynym nauczycielem – i to tylko w dzieciństwie – był francuski jezuita monsignore Jerome, późniejszy biskup Hararu i przyjaciel poety Arthura Rimbauda. Duchowny ten nie zdążył wpoić cesarzowi nawyku czytania, co zresztą było tym trudniejsze, że Hajle Sella-sje już od lat chłopięcych zajmował odpowiednie stanowiska kierownicze i nie miał czasu na systematyczne lektury. Ale wydaje mi się, że chodziło nie tylko o brak czasu i nawyku. Zwyczaj ustnego referowania miał tę zaletę, że w razie potrzeby cesarz mógł oświadczyć, iż dostojnik taki to a taki doniósł mu zupełnie co innego, niż miało to miejsce w rzeczywistości, a ten nie mógł bronić się, nie mając żadnego dowodu na piśmie. Tak więc cesarz odbierał od swoich podwładnych nie to, co oni mu mówili, ale to, co jego zdaniem powinno być powiedziane. Czcigodny pan miał swoją koncepcję i do niej dopasowywał wszystkie sygnały dochodzące z otoczenia. Podobnie było z pisaniem, bo monarcha nasz nie tylko nie korzystał z umiejętności czytania, ale także nic nie pisał i niczego własnoręcznie nie podpisywał. Choć rządził przez pół wieku, nawet najbliżsi nie wiedzą, jak wyglądał jego podpis. W godzinach urzędowania przy cesarzu obecny był zawsze minister pióra, który notował wszystkie jego rozkazy i polecenia. Wyjaśnię tu, że w czasie roboczych audiencji dostojny pan mówił bardzo cicho, ledwie tylko poruszając wargami. Minister pióra, stojąc o pół kroku od tronu, zmuszony był przybliżyć ucho do ust imperialnych, aby usłyszeć i zanotować decyzję cesarza. W dodatku słowa cesarza były z reguły niejasne i dwuznaczne, zwłaszcza wówczas, gdy nie chciał dając wyraźnego stanowiska, a sytuacja wymagała, aby dał swoją opinię. Można było podziwiać zręczność monarchy. Zapytany przez dostojnika o decyzję imperial-

ną, nie odpowiadał wprost, ale odzywał się głosem tak cichym, że docierał tylko do przysuniętego blisko, jak mikrofon, ucha ministra pióra. Notował on skąpe i mgliste pomruki władcy. Reszta była już tylko kwestią interpretacji, a ta była sprawą ministra, który nadawał decyzji formę pisemną i przekazywał ją niżej. Ten, kto kierował ministerstwem pióra, był najbliższym zaufanym cesarza i miał potężną władzę. Z tajemnej kabały słów monarszych mógł on układać dowolne decyzje. Jeżeli posunięcie cesarskie olśniewało wszystkich trafnością i mądrością, było kolejnym dowodem na nieomylność wybrańca Boga. Jeżeli natomiast gdzieś z powietrza, gdzieś z kątów zaczynał dobiegać monarchę szmerek niezadowolenia, dostojny pan mógł wszystko zrzucić na głowę ministra. Ten ostatni był najbardziej znienawidzoną osobistością dworu, ponieważ opinia, będąc przekonana o mądrości i dobroci czcigodnego pana, właśnie ministra obwiniała o decyzje złośliwe i bezmyślne, jakich było bez liku. Co prawda wśród służby szeptano, dlaczego Hajle Sellasje nie zmieni ministra, ale w pałacu pytania mogły być zadawane tylko z góry w dół, nigdy odwrotnie. Właśnie kiedy po raz pierwszy rzucono głośno pytanie biegnące w odwrotnym niż dotychczas kierunku, było to sygnałem, że wybuchła rewolucja. Ale wybiegam w przyszłość, a muszę wrócić do tej chwili porannej, kiedy na stopniach pałacu ukazuje się cesarz i rusza na wczesny spacer. Wchodzi do parku. To jest właśnie moment, w którym zbliża się do niego szef wywiadu pałacowego – Solomon Kedir – i składa swoje doniesienia. Cesarz idzie alejką, a krok za nim Kedir, który mówi i mówi. Kto z kim spotkał się, gdzie to było, o czym rozmawiali. Przeciw komu paktują. Czy można to uznać za spisek. Kedir informuje też o pracy wydziału szyfrów wojskowych. Wydział ten, należący do urzędu Kedira, odczytuje zaszyfrowane rozmowy, jakie prowadzą mię-

dzy sobą dywizje – warto wiedzieć, czy nie lęgnie się tam myśl wywrotowa. Dostojny pan o nic nie pyta, niczego nie komentuje, idzie i słucha. Czasem zatrzyma się przed klatką z lwami, aby rzucić im podany przez służbę udziec cielęcy. Patrzy na lwią drapieżność i wtedy uśmiecha się. Potem zbliży się do uwiązanych na łańcuchu lampartów i da im żeber wołowych. Tu pan musi być uważny, bo podchodzi blisko do drapieżników, które potrafią być nieobliczalne. Wreszcie idzie dalej, a za nim ciągnący swoje doniesienia Kedir. W pewnej chwili pan kiwa głową i jest to znak dla Kedira, że ma się oddalić. Składa ukłon i znika w alejce, cofając się w ten sposób, aby nie obrócić się tyłem do monarchy. Dokładnie wtedy wychodzi spod drzewa czekający już minister przemysłu i handlu – Makonen Habte-Wald. Zbliży się do odbywającego spacer cesarza i idąc o krok za nim, składa mu doniesienie. Habte-Wald ma prywatną sieć donosicieli, którą utrzymuje z powodu zżerającej go pasji intryganctwa, a także aby przypodobać się czcigodnemu panu. Teraz on na podstawie meldunków opowiada cesarzowi przebieg ostatniej nocy. Nasz pan znowu o nic nie pyta i niczego nie komentuje, tylko idzie i słucha z rękami założonymi do tyłu. Bywa, że zbliży się do stada flamingów, ale płochliwe to ptactwo zaraz ucieka i cesarz uśmiecha się na widok stworzenia, które odmawia mu posłuszeństwa. W końcu, idąc dalej, robi skłon głową, Habte-Wald milknie i cofając się tyłem, znika w alejce. I teraz jak spod ziemi wyrasta zgarbiona postać oddanego zausznika Ashy Walde-Mikaela. Dostojnik ten sprawuje nadzór nad rządową policją polityczną, która współzawodniczy z wywiadem pałacowym Solomona Kedira i prowadzi ostrą walkę konkurencyjną z prywatnymi siatkami donosicieli w rodzaju takiej, jaką dysponuje Makonen Habte-Wald. Zajęcie, jakiemu oddawali się ci ludzie, było ciężkie i niebezpieczne. Żyli

w lęku, że czegoś nie doniosą w porę i popadną w nie-  
łaszkę albo że konkurent doniesie lepiej i wtedy cesarz  
pomyśli: dlaczego Solomon sprawił mi dziś ucztę,  
a Makonen przyniósł same plewy? Nie mówił, bo nie  
wie, czy milczał, bo sam jest w spisku? Czy dostojny  
pan mało doświadczył takich wypadków na własnej  
skórce, że zdradzali go najbliżsi i najbardziej zaufani?  
I dlatego cesarz karał za milczenie. Ale z kolei bezład-  
ne potoki słów nużyły i drażniły imperialne ucho, więc  
nerwowe gadulstwo też nie było dobrym wyjściem. Już  
wygląd tych ludzi mówił, w jakim żyją zagrożeniu.  
Niewyspani, zmęczeni działali w ciągłym napięciu,  
w gorączce, w pościgu za ofiarą, w zaduchu nienawi-  
ści i strachu, jaki ich powszechnie otaczał. Za jedyną  
tarczę mieli cesarza, ale cesarz mógł ich wykończyć  
jednym gestem ręki. O tak, dobrotliwy pan nie ułatwiał  
im życia. Jak już wspomniałem, w czasie porannego  
spaceru Hajle Sellasje, słuchając doniesień o stanie spi-  
sków w cesarstwie, nigdy nie zadawał pytań i nie ko-  
mentował otrzymanych informacji. Powiem teraz, że  
wiedział, co robi. Pan chciał otrzymać donos w stanie  
czystym, to znaczy donos prawdziwy, a gdyby pytał  
lub wyrażał opinię, sprawozdawca zacząłby usłużnie  
zmieniać fakty, aby odpowiadały wyobrażeniom cesa-  
rza, i wówczas całe donosicielstwo popadłoby w taką  
dowolność i subiektywizm, że monarcha nie mógłby  
się dowiedzieć, co rzeczywiście dzieje się w państwie  
i w pałacu. Kończąc już spacer, cesarz słucha o tym,  
co ostatniej nocy przynieśli ludzie Ashy. Karmi psy  
i czarną panterę, potem podziwia otrzymanego niedaw-  
no mrówkojada – dar prezydenta Ugandy. Skłania gło-  
wę i Asha odchodzi skulony, niepewny, czy powiedział  
więcej, czy mniej od tego, co donieśli dziś jego najbar-  
dziej zaciekli wrogowie – Solomon, wróg Makonena  
i Ashy, i Makonen, wróg Ashy i Solomona. Ostatnią  
rundę przechadzki Hajle Sellasje odbywa już samot-



nie. W parku robi się jasno, rzadnie mgła, w trawie zapalają się słoneczne światła. Cesarz rozmyśla, jest to czas układania taktyki i strategii, rozwiązywania łami-główek personalnych i szykowania następnego ruchu na szachownicy władzy. Zgłębia treść meldunków dostarczonych przez donosicieli. Mało rzeczy ważnych, oni najczęściej donoszą jeden na drugiego. Nasz pan ma wszystko zanotowane w głowie, jego umysł to komputer, który przechowuje każdy szczegół, najmniejszy drobiazg będzie zapamiętany. W pałacu nie było żadnego biura kadr, teczek ani ankiet. To wszystko cesarz nosił w swoim umyśle, całą najtajniejszą kartotekę ludzi elity. Widzę go teraz, jak idzie, przystaje, podnosi do góry twarz, jakby pogrążył się w modlitwie. O Boże, wybaw mnie od tych, co czołgając się na kolanach, skrywają nóż, który chcieliby wbić w moje plecy. Ale co Pan Bóg może pomóc? Wszyscy ludzie otaczający cesarza są właśnie tacy – na kolanach i z nożem. Na szczytach nigdy nie jest ciepło. Wieją lodowate wichry, każdy stoi skulony i musi pilnować się, żeby sąsiad nie strącił go w przepaść.

T.K-B.:

Drogi przyjacielu, oczywiście, że pamiętam. To przecież było niemal wczoraj. Niemal wczoraj, przed wiekiem. W tym mieście, ale już na innej planecie, która się oddaliła. Jak to się miesza – czasy, miejsca, świat rozsypany na kawałki, nie do zlepiania. Tylko wspomnienie, to jedyne, co ocalało, jedyne, co pozostaje z życia. Dużo czasu spędziłem przy cesarzu jako urzędnik ministerstwa pióra. Zaczynaliśmy pracę o ósmej, aby wszystko było gotowe na dziewiątą, kiedy przyjedzie monarcha. Pan nasz mieszkał w nowym pałacu, naprzeciw Africa Hall, a czynności oficjalne spełniał

w pałacu starym, zbudowanym przez cesarza Menelika, a położonym na sąsiednim wzgórzu. Nasz urząd był właśnie w starym pałacu, gdzie mieściła się większość instytucji cesarskich, gdyż Hajle Sellasje chciał mieć wszystko pod ręką. Przyjeżdżał jednym z dwudziestu siedmiu aut, jakie tworzyły jego prywatny park. Lubił samochody, najwyżej cenił sobie rolls-royce'y z powodu ich poważnej i dostojnej linii, ale dla odmiany korzystał też z mercedesów i lincoln-continentalów. Przypomnę, że pan nasz pierwszy sprowadził samochody do Etiopii i zawsze odnosił się życzliwie do entuzjastów postępu technicznego, których, niestety, nasz tradycyjny naród traktował z niechęcią. Przecież cesarz omal nie stracił władzy, a nawet życia, kiedy w latach dwudziestych sprowadził z Europy pierwszy samolot! Prosty aeroplan uznano wówczas za dzieło szatana i po dworach magnackich zawiązywano spiski przeciw tak szalonemu monarsze, niemal kabaliście i czarnoksiężnikowi. Odtąd czcigodny pan musiał ostrożniej dawać upust swoim pionierskim ambicjom, dopóki z powodu niechęci, jaką budzi wszelka nowość w człowieku sędziwym, nie zaniechał tych poczynań prawie zupełnie. Więc o dziesiątej rano przybywał do starego pałacu. Przed bramą oczekiwał go tłum poddanych, który usiłował wręczyć cesarzowi petycje. Była to, teoretycznie biorąc, najprostsza droga poszukiwania w cesarstwie sprawiedliwości i dobroci. Ponieważ naród nasz jest niepiśmienny, a sprawiedliwości poszukuje z reguły biedota, ludzie ci zadłużali się na lata, aby opłacić kancelistę, który spisałby ich żale i prośby. W dodatku powstawał kłopot protokolarny, bo zwyczaj nakazywał małuczkiemu, aby przed cesarzem klęczał z twarzą przy ziemi, a jak podać z tej pozycji kopertę do przejeżdżającej limuzyny? Rozwiązywano sprawę w ten sposób, że wóz cesarski zwalniał, za szybą ukazywała się pełna dobroci twarz monarchy, a ja-

dająca w następnym samochodzie ochrona zabierała część kopert z rąk, jakie wyciągało pospólstwo, część, bo tych rąk był las. Jeżeli tłum podczołgiwał się zbyt blisko nadjeżdżających samochodów, gwardia musiała odpychać i przeganiać natrętów, gdyż względy bezpieczeństwa, a także powaga majestatu wymagały, aby przejazd odbywał się płynnie i bez nieplanowanej zwłoki. Teraz wozy wjeżdżały biegnącą pod górę aleją i zatrzymywały się na dziedzińcu pałacowym. Tu także oczekiwał cesarza tłum, ale zupełnie inny niż owa horda przed bramą, rozpędzana z furią przez doborowych gwardzistów z Imperial Body Guard. Ten tłum witający monarchę na dziedzińcu tworzyli ludzie z cesarskiego otoczenia. Wszyscy zbieraliśmy się tu wcześniej, żeby nie spóźnić się na przyjazd cesarza, bo ta chwila miała dla nas szczególne znaczenie. Każdy chciał się koniecznie pokazać, bo miał nadzieję, że będzie zauważony przez cesarza. Nie, nie marzyło się nawet jakiegoś specjalnego zauważenia: czcigodny pan zauważył, podchodzi i wszczyna rozmowę. Nie, nie aż takie! Powiem otwarcie – pragnęło się bodaj minimalnego zauważenia, po prostu najmniejszego, najzupełniej byle jakiego, wręcz podrzędnego, zdawkowego, nienakładającego na cesarza żadnych zobowiązań, przelotnego jak ułamek sekundy, a jednak takiego, aby potem odczuło się wstrząs wewnętrzny i opanowała nas triumfalna myśl: zostałem zauważony! Jakiej to potem dodawało siły! Jakie stwarzało nieograniczone możliwości! Bo założmy, oko dostojnego pana prześliznęło się po twarzy, tylko prześliznęło! Właściwie można by powiedzieć, że nic nie było, ale z drugiej strony – jakże nie było, kiedy się prześliznęło! Czujemy zaraz, jak temperatura twarzy podnosi się, krew idzie do głowy, a serce uderza mocniej. Są to najlepsze dowody, że dotknęło nas oko protektora, ale co tam, te dowody nie mają w tej chwili znaczenia. Ważniejszy jest proces,



**Ryszard Kapuściński** (1932–2007), pisarz, zdobył międzynarodową sławę jako autor literackich reportaży z Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji, z zapalnych regionów świata: krajów objętych przemianami ustrojowymi, wstrząsanych wojnami i rewolucjami. W swych książkach łączył opis dramatycznych wydarzeń z głęboką analizą obserwowanych procesów politycznych i społecznych. Często określany był jako *maestro* i cesarz reportażu.

W 1974 r. wojskowy zamach stanu pozbawił tronu władcę Etiopii, Hajle Sellasje I. Opublikowany cztery lata później *Cesarz* nie jest kronikarskim zapisem tego przewrotu, lecz niezwykle oryginalną opowieścią o funkcjonowaniu dworu cesarskiego i ludziach otaczających monarchę, a także szerzej – o mechanizmach sprawowania władzy w państwach autorytarnych, jej legitymizacji, wynaturzeniach i upadku.

*Cesarz to koszmar; który śni się sprawującym władzę, gdy są osamotnieni. To mroząca krew w żyłach i błyskotliwa opowieść, precyzyjnie napisana, zarówno wytworna stylistycznie, jak i politycznie przenikliwa. Zwarta, ale i pełna aforyzmów, w doskonały sposób odtwarzająca rozkład władzy.*

(Alvin Toffler)

*Kiedy po raz pierwszy natrafiłem na Cesarza, już po dwóch stronach zdałem sobie jasno sprawę, że czytam nie zwykły reportaż, lecz prawdziwe dzieło sztuki, zdumiewający tekst, niepodobny do czegokolwiek, co dotąd widziałem.*

(Salman Rushdie)

ISBN 978-83-07-03462-1



9 788307 034621

www.czytelnik.pl